Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 51. Poznań dnia 18. Marca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Podróże i wyprawy wojenne księcia Maxymiliana Wirtembergskiego w Polsce, w Litwie, na Rusi i na Ukrainie.

(Dalszy ciąg.)

Rzekł zatem król do księcia: »gdybym był pewny, że cię tu zastanę, tobym był jeszcze w nocy za tobą popędził.« Tego więc dnia wciąż z sobą zostali. Objechali zamek do koła, to jest: ile otaczające go głębokie bagna dozwalały, i powrócili do kwatery. Nazajutrz 11. Maja odpoczywali król i książę, i zajęci byli tego dnia uważaniem sławnego zaćmienia słońca, o którém wtenczas wiele w całéj Europie rozprawiano. Pod wieczor tego dnia, gdy książę przyszedł do królewskiéj stancyi, król zamyka drzwi na rygiel i mówi do niego: »Miejże się w gotowości, bo jutro przededniem pojedziemy razem do pułkownika Kreutz. Bądź gotów o drugiéj z północy. Ja tajemnie wyjdę z mego mieszkania, nikt nam nie będzie towarzyszył; ale weź dobrego i wytrzymałego konia, bo jutro do południa dwadzieścia mil ujechać mamy.« Książę czule podziękował królowi za ten dowód zaufania; a król dodał: »A jużci muszę ci się zwierzyć, bobyś mnie znowu szukał, nie wiedzieć gdzie. Odtąd ja cię zawsze uprzedzę, kiedy będę wyjeżdżał.« Poszedł zatem książę do siebie, położył się nierozebrany, wstał o drugiéj i wyjechał z królem. Niektórzy z drabantów przybocznych, postrzegłszy, że króla nie ma, zaczęli go wszędzie szukać, ale nikt na ślad nie trafił. Król zaś z księciem prosto do zamku Lachowic pojechał, gdzie stał pułkownik Kreutz. Tam dał rozkaz, aby wszystkie wsie do koła, które do Augustowskich stronników należały, ogniem zniszczone były. Ztamtąd pojechali do Kłecka, gdzie stoczył był niedawno potyczkę Kreutz z Rossyanami, a daléj do Nieświeża, zamku warownego, który się jeszcze nie był poddał. Kazał król natychmiast oświadczyć przez officera i trębacza, że jeśli się osada w téj saméj chwili nie podda, cała w pień wyciętą zostanie. Po pół godzinnem namyśleniu poddał się komendant Nieświeża, i oddał Szwedom twierdzę najlepszą w całéj téj okolicy. Ma ona cztery baszty murowane, z kontreskarpą, i wszelkiemi potrzebami. Stało w niéj siedemnaście dział śpiżowych i cztery żelazne. Wysłane zostały potem podjazdy szwedzkie dla zniszczenia innych Radziwiłłowskich majętności, które tak są obszerne, jak wielkie jakie księstwo. Z tamtąd udał się król z księciem do Słucka, który się wraz zamkiem warownym za podobnem wezwaniem natychmiast poddał. Słuck jest jedno z najznaczniejszych miast téj okolicy, miało dawniéj swoich książąt udzielnych; wtenczas zaś należało do księcia Karola Filipa Pfalz-Neuburg, któremu się dostało po żonie Radziwiłłownie.*)

Wrócili nakoniec król i książę sami, jak byli wyjechali do kwatery głównéj 24. Maja; ale w téj podróży nie jednéj doznali przygody; trafili w drodze na jakiś obszernie rozlany bród, trudny do przebycia, a gdy nikogo nie było, coby ich mógł przewieść, po długim szukaniu wynaleźli czołno, na którém chcieli się przeprawić na drugą stronę. Król, jako wprawniejszy do żeglugi, wziął się do wiosła, książę zaś trzymał za cugle konie, pływające za czołnem. Te zaś skoro już nie widziały brzegów, nie chciały iść za przewodnikiem, tak, że książę wiele zażył trudów, aby cugli z rąk nie puścić. Rwały konie małe czołenko, to na tę, to na owę stronę, dopóki drugiego brzegu wody nie postrzegły. Gdy się wyżéj wspomnione twierdze poddały, poszedł za ich przykładem i zamek Zawierski. Warownie jego zostały zniszczone i domy mieszkańców spalone. Siedemset żołnierzy, z których się składała załoga, puścił król szwedzki na wolność, z tem jednak ostrzeżeniem,

*) Jest to ta Radziwiłłowna, córka Bogusława Radziwiłła, przeniewierzonego królowi Kazimierzowi Wazie, którą król Jan Sobieski za syna swego Jakuba wydać życzył; ale gdy za staraniem Fryderyka Wilhelma, Elektora Brandeburskiego, w Królewcu wychowaną była, w bardzo młodym jeszcze wieku synowi tegoż Elektora, Margrabiemu Ludwikowi, zaślubioną została. Po śmierci tegoż księcia Ludwika, gdy znowu była nadzieja dla Sobieskich pozyskania téj bogatéj dziedziczki do ich familii, uprzedził znowu księcia Jakuba książę Filip Neuburgski.

że gdyby jeszcze raz przeciw królowi Stanisławowi służyć mieli, będą powieszeni.

25go Maja książę nasz znowu miał przypadek: gdy jechał z królem szwedzkim na odwiedziny do króla Stanisława, koń z nim padł, a gdy chciał powstać, na grzbiet księcia nastąpił. Z trudnością przywlokł się książę do mieszkania króla Stanisława, i tam już musiał pozostać, aż nieco wyzdrowiał. Troskliwa pieczołowitość króla Polskiego, mocno się przyczyniła do rychlejszego jego wyzdrowienia. Wkrótce mógł znowu jeździć konno i wrócił do głównéj kwatery w Pińsku.

Już też król szwedzki gotował się, opuścić to miejsce, gdzie dość długo stał kwaterą. Na początku Czerwca wysłani zostali kwatermistrze ku Wołyniowi, aby najlepsze dla wojska w tym kierunku wyśledzić drogi. Wkrótce ruszył sam król w tę stronę, spaliwszy wprzód przedmieście i zamek Piński, jako do Wiśniowieckiego należące.

Podczas tego pochodu jeszcze raz dobiegł król do Zawierza, dla upewnienia się własnemi oczyma, jak daleko doszło znoszenie warowni. Przy téj exkursyi znowu książę tak głęboko wpadł w błoto, że jego tylko samego wyciągnąć było można, koń zaś został musiał w bagnisku. Wojsko szwedzkie przechodziło przez majętności Wiśniowieckiego, a to dla dokuczenia temu głównemu króla Augusta stronnikowi. Pochód był powolny, bo co chwila trzeba było stawać dla naprawiania lichych bardzo mostów, ledwo lekkie pojazdy mieszkańców wstrzymujących, ale nie wojenne pociągi i działa. Skierował daléj król szwedzki swój pochód na Nowąrudę i Sokul, daléj wzdłuż rzeki Styru do Rossyi. Tu przeszedł przez Styr, i obok Łucka poszedł ku Jarosławicom, gdzie się niejaki czas zatrzymał. Wszędzie wieśniacy rozbiegali się na pierwszą wieść o Szwedach. Mimo to kazał król magazyny zwozić, co ułatwiała wreszcie niepospolita urodzajność kraju. Tu nigdy stodoły nie są wystarczające na niezmierną obfitość plonów. Wystawiają zatem mieszkańcy tak z siana, jak ze zboża stogi ogromne i w sposób bardzo umiejętny, bo z nich wilgoć po wierzchu spływa, i tak stać mogą bez uszkodzenia pod gołém niebem. Te wielkie zbiory stogów zdaleka widziane, nie raz się wydają, jakby miasto jakie znaczne. Przyznawali Szwedzi przy wstępie do Wołynia, że nigdy jeszcze tak tłustych i urodzajnych gruntów nie widzieli.

Szlachta województwa wołyńskiego mocno się zdziwiła, gdy ujrzała wojsko szwedzkie, przebywające do niéj przez tak rozległe bagna, które dotąd za nieprzebyte były uważane. Trapił się szczególnie Radziwiłł gdy po wielkich szkodach już poniesionych w Nieświeżu i Klecku widział nachodzących Szwedów na jego wołyńskie posiadłości. Nadewszystko był niespokojny o Ołykę i Białę, dwa dość porządne miasteczka, do niego należące. Wydane mu też zostały po kilkakrotnie rozkazy, aby się królowi Stanisławowi poddał. Po niejakiém wahaniu się, zachęcony wreszcie przykładem innych magnatów, którzy się byli poddali nowemu królowi, uległ nakoniec i Radziwiłł konieczności. 21go Lipca posunął się król na Skurze i Podhorce ku rzece Bugowi, który w Horodle przebyliśmy. Ztamtąd szedł pochód ku Puławom. Jest to miasteczko nad Wisłą, należące do Sieniawskiego hetmana, ze stronnictwa Augustowskiego. Tu i w Kazimierzu mosty zostały rzucone na Wisłę, a trzy dni po przejściu rzeki, przybył król szwedzki na Zwoleń do Radomia. Tu król będąc już tylko o 25 mil od jenerała Rönschilda, zostawionego w Wielkiéj-Polsce, stojącego teraz pod Uniejowem nad Wartą, i którego przed kilka dni na godność feldmarszałkowską był wyniósł; przedsięwziął do niego tajemną exkursyą. Tą razą wziął z sobą dwóch książąt: Wirtembergskiego i Meklemburgskiego, jenerała Meyerfelda, adjutanta Kanifera, dwóch drabantów i jednego przewodnika Polaka. Z tym orszakiem o trzy mile od kwatery głównéj, przez las jakiś jadąc, spotkał rozłożony obóz około trzechset Polaków Augustowskich. Król już był wpadł między nich w przekonaniu, że to są jego Wołosi. Oni też zwiedzeni jego śmiałością, także go nie mieli za nieprzyjaciela. Ale gdy adjutant Kanifer zagadł ich po szwedzku, natychmiast dali ognia ze wszystkich stron do orszaku, a król i jego eskorta przebić się musieli zbrojną ręką, i co żywo uciekać. Zemknęli też szczęśliwie przed pogonią, ale rozpierzchli się każden w inną stronę zapędzony. Przy naszym księciu jeden tylko został jenerał Meyerfeld. W tym popłochu król przewrócił się z koniem, ale dość prędko powstał i wskoczył znowu na niego, tak, że ścigający Polacy niezdolali go dopędzić. Potem aż do białego dnia król błądził po lesie. Książę Meklemburgski wpadł w loch jakiś z koniem i piechotą iść daléj musiał. Dopadłszy potem chłopskiéj szkapy do Radomia powrócił. Książę i Meyerfeld trafili na dobrą drogę, i już o 3ciéj z północy byli na powrót w kwaterze głównéj. Ale gdy tu króla nie zastali, wielki powstał allarm, ażali nie był wzięty w niewolę albo zabity. Rozesłali zatem po dwieście ludzi konnych na wszystkie strony, aby go szukać. Ci wszyscy nikogo nie spotkali, tylko księcia Meklemburgskiego na szkapie oklep jadącego, i który nic nie wiedział o królu. Na szczęście przed samym świtem zjawił się król w obozie.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Drzym sobie duszo!

Drzym sobie duszo! co ci do tego,
Że tam myśl czyja po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata?
Wola do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi,
I z tego wróży życie po śmierci!

Życie po śmierci? drzym sobie duszo!
Czyż może to być, czego już niema?
O! gdy raz umrzesz, już cię niewzruszą:
Łagodność Abla, ni złość Kaima;
Bo śmierć po życiu i śmierć przed życiem,
A między niemi maligny chwila,
To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią, człowieka — motyla.

Drzym sobie duszo! co cię ma budzić,
Oko dziewicy miłe, ułudne?
Trzebaż się palić, by potém studzić?
Wdłoń szczerą chwytać dłonie obłudne?
Drzym sobie duszo! tybyś nieśpiąca
Spłonęła ogniem, od mrozu skrzepła;
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna, ni ciepła.

Ty sobie możesz stworzyć, co zechcesz,
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem;
Ty, gdy przyrodę myślą polechcesz
Miléj ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wichrzy, lub śniegi pruszą?
Ty na promykach — zapachów fali —
W pieluchach marzeń — drzym sobie duszo! . .

Grudzień d. 15. 1838. r. *E. W.*

Adam Mickiewicz.

Sonet.

(Jest to wyjątek ze zbioru pod tytułem: »Sonety ku czci uczonych Sławian.«)

Jak rodak milszy sercu i jeniusz prawy,
Adamie! skrzydłem orła przodkuj przed innemi,
W kraje nieśmiertelności spiesz po wieńce sławy,
Dla Ciebie niema wieńca godnego na ziemi!

Obalaj Twoją pieśnią przesąd zastarzały,
Który każe pogardzać dzieły sławiańskiemi,
I ludy, co nas dotąd cenić nie umiały,
Sprowadź w hołd nam łańcuchy z Twych pism splecionemi.

Wiecznie kwitnący wszystkim Sławianom twórz kwiaty,
Przyjmą się one, wzrosną w ich bujnym ogrodzie,
Ich myśli i ich serca kwiatami otoczą:

A odżyje Twą siłą ich język bogaty,
Wstaną wieszcze, zanucą w pobratymczéj zgodzie,
Pieśń wielką, jak myśl ludzka, a jak świat uroczą!

St. Jasz.

Scena z 1669 roku.

(Przez autora powieści Jadama.)

Dnia 16. Maja roku 1669, o czasie nieszpornym, do kościoła OO. Bernadynów w Krakowie szedł sobie jakiś w przetartéj kapocie staruszek. W kruchcie stanąwszy sięgnął do kościelnych podwóji. — »Kościoł zamknięty do diaska,« rzekł do siebie »by raz nie chybiłem godziny. Héj słyszycie! z jakiéj okazyi nie ma dziś nieszporów?« — Mieszczanin do którego czynił to zapytanie naglony swoim interesem, i nic nie odpowiedziawszy, pobiegł ku rynkowi. Nie lepiéj drugi usłużył, snać gnała go także jakaś potrzeba na rynek. »Cóż u diaska się dzieje?« prawił do siebie starzec, »wszystko tam bieży, czy nie gore? Święty Floryanie, módl się za nami!« i nie bawiąc, gdzie wszyscy biegli, powlókł się i starzec. Przed kamienicą, którą Krzysztofory zowią, obaczył z niemałem zadziwieniem niezliczony tłum ludzi różnego stanu, różnego wieku i płci, nad tą tłuszczą głów wznosiły się chorągwie kościelne i oznaki cechowe: do gwaru, jaki wzniecało pospólstwo, mięszał się wrzask trąby i huk kotła, a razem rozlegał się po mieście odgłos dzwonu, bo na sędziwym Wawelu obudził się Zygmunt — ten król dzwonów — i nakształt grzmotu przeciągłego huczał nad miastem. »U diaska co znaczy to zbiegowisko? ta processya nieprzymierzając, jak na Boże Ciała! na miłość Boga powiedźcie, co się święci?« — »Alboż to wasza mość nic nie wie o tem?« — »Do diaska, nie odkładajcie na potem, ciekawym bardzo, co się dzieje?« — Mieszczanin znudzony pytaniem, wrzasnął na całe gardło: »Król przyjechał do Krakowa!« — »Co ja słyszę! o nieba! pan nasz miłościwy? swoją własną osobą? w Krakowie? Hej! hej to! to radość, wesele, processye, illuminacye, do diaska! w Zygmunta, czemuż nie dzwonią? w Zygmunta powinni uderzyć!« — »Staruszek, ten dobrze głuchy, kiedy i Zygmunta nie słyszy.« — Te uwagi, kiedy czyniono o staruszku, już go nie było; przecisnął się przez tłum i co sił stało spieszył na Rybaki. (Jest to przedmieście w Krakowie, położone nad Wisłą.) Niewiasta po rybaku wdowa miała tam swój domek, stawiany jeszcze za owych dobrych czasów, za króla Zygmunta, znamię swojéj starości nosił na sobie, i zmarszczony i schylony ku ziemi, podobnie jak jego właścicielka pani Witeska. W alkierzu tego domu, w ciemnym zakątku, stało łoże, karabela szlachecka przy niem, passyjka z gromnicą zawieszona nad niem, obok kuferek i stół kobier-

czykiem nakryty. Była to stancya pana Ancuty, niegdyś possessyonata, dziś podupadłego, i jak to mówią, siedzącego na bruku szlachcica.

Pani Witeska siedziała na ławie przy kądzieli, młode chłopię drzymało za piecem, kiedy z trzaskiem drzwi się otwarły i zadyszany wpadł do izby szlachcic: »Pani Witeska!« zawołał, »wielka radość i wesele! pani Witeska siedzi sobie i nic nie wie, a tam w mieście processye, chorągwie, historye! ażem się zmachał, tak biegłem, czas drogi. Jaś czy jest?« — Synek pani Witeskiéj zerwał się na zawołanie i stanął zaspany przed panem Ancutą. »Jasiu zbierz się! biegaj co żywo! sprowadź mi balwierza, poczekaj! po drodze weź te cholewki, wstąpisz do Szymka, mojego szewca — poczekaj! po drodze do kramu mi wstąpisz, arkusz papieru i hamburskie pióro. Na, masz!« — Wybiegł Jaś, pani Witeska nie wiedziała dotąd, co się stało. Pan Ancuta nic nie mówił, tylko przechadzał się po izbie bosemi nogami, ale twarz miał wesołą, jak słońce, oko iskrzyło się radością, zacierał ręce, poprawiał paska, czapkę przewiesił na ucho i pełen dobréj fantazyi podparłszy sobie boki — pogwizdował. — »*Post nubila Phoebus!*« rzekł, stanąwszy na przeciw pani Witeskiéj. »Do diaska, Aspani nie rozumiesz po łacinie, a zatem po staremu będę miał rzecz. — A na sam przód proszę mi powiedzieć, co będzie dziś na wieczerzę? Zresztą to mniejsza, ale jutro, proszę mi wystąpić z obiadem.« — Pani Witeska, pewna, że szlachcicowi pomięszało się w głowie, zakrzyżowała ręce, wołając: »Matko wielkiego miłosierdzia!« — »Co ja słyszę, u diaska!« rzekł z wykrzykiem Ancuta: »Aspani bąknęłaś coś o miłosierdziu, miłosierdzia nie potrzebuję, wypłacę się co do grosza i z procentem, jak się patrzy. Bardzo proszę, mógłbym się pogniewać, a niedawno temu byłem u spowiedzi. Ale nie, na panią Witeską gniewać się, nie mam serca, i owszem wdzięcznym być umiem, i o to dzisiaj na tem miejscu protestuję się przed Panem Bogiem, iż jak skoro to się stanie, co myślę: Pani, nikomu innemu, tylko Waspani oddam klucze od lamusa, szpichlerz cały, śpiżarnię całą, folwark cały do wiernych rąk oddam, a Jaś będzie u mnie za pisarza, wykieruję go na człowieka.« — Pani Witeska zaczęła się cofać od rozprawiającego temi słowy szlachcica: jéj domysły, że postradał rozum, przechodziły w przekonanie. — »Do diaska! czego się Wasani odsuwasz odemnie? nie zbardziałem — Boże broń! — owszem wdzięcznym być umiem, pokażę to i dowiodę mową i uczynkiem.« — »Wam się coś w głowie mięsza, panie Ancuto!« rzekła zakłopotana kobiecina. »Co mięsza? Ja to panu Myszkowskiemu pomięszam szyki; dziękować Bogu, będę i ja miał plecy za sobą, spróbujemy się panie z Mirowa Myszkowski. Ha, myszka ladaco zgryzła moją fortunkę, ale jéj nie strawi, nie. Do diaska! czegożto pani Witeska wytrzyszczyłaś oczy, patrzysz na mnie, jak na raroga? Przecież mówiłem już podobno, że to pan Myszkowski ubrał mnie w takie łachmanki, wyzuł z wioski, zniszczył, styrał. Krwawo zarobionym groszem kupiłem wioskę, kaci tam wiedzieli, że pan z Mirowa traktował o to kupno. Dosyć, żem kupił, wypłacił do szeląga. Cóż tedy robi Myszkowski? zapozywa mnie, czyni protestacye, wyderkafy, historye, nie czeka końca, najeżdża i wypędza z domu i z wioski, do któréj dotąd trafić nie mogę. Daremniem jeździł, prosił, czapkował i płacił. Wreszcie nie stało już zdrowia i mieszka: człek osiadł na bruku. A gdyby nie Waspani, nic nie miałbym na głodny ząb włożyć. Ale do diaska! inna *facies rei*, wkrótce się to pokaże, — król, nasz pan miłościwy już tu jest, w Krakowie, dziś przyjechał. Nie opuszczę téj fortunnéj okazyi, do króla, do samego króla poniosę moję żałobę, moję krzywdę — sprawiedliwości domagać się będę, inaczéj pójdzie teraz sprawa moja; reassumuję ją *de novo*, a obaczymy dopiero *quis melior?* — Ej jaka szkoda, zapomniałem, po drodze mógł był Jaś wstąpić do winiarza i przynieść butel wina, a wypilibyśmy zdrowie najjaśniejszego pana i to duszkiem: niech żyje! *vivat!* Niechno pani Witeska nie odsuwa się odemnie, czym straszny taki? czy co? wszakże nie? tylkom sobie wesół i takbym skakał a ściskał co dopadnę.« — »Gwałtu! ratujcie!« zawrzasła staruszka, cofając się ku oknu. — »No, no,« zreflektowany przemówił ciszéj nieco szlachcic, »Siadaj no Waspani, słuchaj no Waspani, opowiem wszystko, opowiem zdarzenie, na którem gruntuję i buduję moje nadzieje.«

(Dokończenie nastąpi.)

O poezyi satyrycznej w ogólności i w szczególe słów kilka o satyrze narodowéj.

(Dokończenie.)

Oto zaiste obfity plon dla satyry, która się pełnym i silnym głosem pośród tylu nieszczęść i zaburzeń ozwała, chcąc z narodowego pola nieczyste i szkodliwe zielsko wytrzebić, chcąc mieć Polskę nie w mordach, pożogach, wewnętrznem rozdarciu, olbrzymiemi kroki pędzącą ku zgubie; lecz Polskę cnotliwą, Polskę potężną, w szczęściu i chwale. Ozwał się Krysztof Opaliński, wojewoda poznański, ozwało się wielu mniéj ważnych satyryków, duchem czasu wywołanych, których serce powszechnem samolubstwem zarażonem nie było; wytykali jawnie, że blizka jest przepaść otwierająca się pod stopami narodu,

ale jakoś ich zbawienne przestrogi dziki wrzask rozruchów, rokoszy i wojen zagłuszył. Osobliwie Opaliński w swoich satyrach albo przestrogach z największem oburzeniem i zapałem siekł i chłostał bez litości i miłosierdzia wszystko, co się tylko jego ideałowi Polski sprzeciwiało i gorzkie wprawdzie, lecz skuteczne lekarstwa podawał schorzałemu narodowi. Bystrość jego, oraz silny i zdrowy rozsądek podziwiać doprawdy należy, nie było albowiem żadnéj prawie wady i przywary w narodzie, którychby nie gromił, którychby się nie starał wykorzenić. Nikogo nie oszczędza w swéj satyrze, ani magnatów, ani szlachty, ani rządu, ani duchowieństwa. Zbytek, rozpustę, niezgodę, przewrotne wychowanie, niemoralność księży, osobliwie mnichów, ówczasową, że tak powiem, szlachtomanią, zaniedbanie przemysłu, uciemiężenie chłopów i mieszczan, Opaliński w wierszach swych ogarnął, najdrobniejszych nawet szczegółów nie przepomniał, tak jak medyk chcący życie uratować człowieka, przy diagnozyi choć najmniejsze choroby oznaki chwyta i rozważa. Otwartość w nim prócz tego i szczerość bez granic, zląd, co serce czuje, to i ręka napisze. Nie znajdziesz więc w jego satyrach ówéj wyrafinowanéj złości, kunsztownego gniewu lub zatrutéj ironii; ale widzisz głębokie oburzenie cnotliwego serca, poczciwego i szlachetnego umysłu, gniew jawny i sprawiedliwy, słowem starego szlachcica polskiego, zacnego obywatela, pałającego najgorętszą ku ojczyznie miłością.

Dmochowski w swéj poetyce mówi:

Pełen satyrycznego Opaliński ducha,
Choć rozum kontentuje, nie głaszcze nam ucha,
Że wierszem bezrymowym swe myśli wykłada . . .

nie ma też bynajmniéj satyra, a tym bardziéj Opalińskiego satyra głaskać uszu, bo gdzie idzie o dobro i zbawienie całego narodu, tam się na uszy mniéj ma pono względu, a gdzie w rzeczywistości tak ogólne rozstrojenie, tak wrzaskliwa dysharmonia, tam satyra wdzięczną i dźwięczną być nie potrzebuje, byleby celną i trafną była. Powiada to wszakże sam Opaliński:

Rymowi dałem pokój, choćbym ci mu pono
Był nie zgorzéj podołał. Dość tak i bez rymy,
Bo i Niemiec sam mówi: prawda chocia nie rym.

Jest wprawdzie styl Opalińskiego prosty, niewygładzony, często makaronizmami nastrzępiony, ale jest mocny, jędrny, dobitny. Znać, że płynął z czystego serca, silnego umysłu i gorliwych chęci. Z resztą w niejednéj rzeczy krytyk, nie tak Opalińskiego strofować winien, jak fałszywy i nienaturalny gust owego czasu, który największą nadętość i napuszystość, najśmieszniejszy bezsens za ozdobę wtenczas i zaletę stylu uważał i mowę polską na prawdziwy bigos z różnych złożony języków przekształcił. Było to wtenczas ogólne jakieś *delirium*, nie tylko w Polsce, lecz i w Niemczech dość powszechne. Karcił je także nasz satyryk i bardziéj, niż którykolwiek z pisarzy równoczesnych nad tę słabość wznieść się potrafił. Mniéj ważnych umyślnie pomijamy.

Przystąpmy teraz do trzeciéj epoki. — Szalała Polska przez lat siedemdziesiąt przeszło w wojnach domowych, buntach i rokoszach, znużona nareszcie spoczęła pod berłem Sasów. Ale spoczynek ten nie był takim, jak u innych narodów, które rany i klęski w wojnach odniesione troskliwie leczą, organizują, lepszemi wzmacniają ustawy, i bolesnem nauczone doświadczeniem, złe wykorzenić, a natomiast dobre wprowadzić usiłują; nie, Polska była w zupełnem odrętwieniu na duszy, w bezczuciu na wszystko zgoła, co się w niéj i zewnątrz jéj działo. Jednakże szlachta dobrze się bawiła: hulanki, bankiety i uciechy wrzały w szerz i w dłuż, jak trafnie mówi satyryk:*)

Śmiech serca opanował sardoński przy zgonie,
Cieszym się, brzęczy mucha, kiedy w miodzie tonie.

Biedne mieszczaństwo zaledwie jeszcze w lichych dyszało miasteczkach; chłop, własność pana, w krwawym pocie ciągnąć musiał pług pański i nędzę własną, w czasie, gdy szlachcic krzyczał na sejmiku, elekcyi, lub zapełniał pokoje magnatów. O zarząd rzeczypospolitéj nie pytaj; rządził sobie, kto chciał, a jak rządził, o to mniejsza, byle złotéj wolności nie naruszył. Wszak każdy już wiedział, że Polska nierządem stoi. Prawda, że nad tem już Kochanowski bolał, że to już Opaliński gromił; prawda, że raz dawniéj z kazalnicy zagrzmiały te straszne słowa: »Obym był Jezajaszem prorokiem, chodziłbym bosy i na poły nagi, wołając na was rokoszniki i rokosznice, przestępniki i przestępnice zakonu bożego: tak was złupią, gdy nieprzyjaciół na głowy wasze przywiedzie pan i w taką was sromotę poda i będzie wam złość wasza, jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie spodziejecie, upadnie. Ustawicznie się mury rzeczypospolitéj naszéj rysują, a wy mówicie: nierządem Polska stoi!**) Nie było serca do czynności, ni mózgu do rady,«***) bo wychowanie młodzieży ograniczało się tylko na pamięciowem pojęciu Alwara, na robieniu szumnych panegiryków i teologiczno-scholastycznych dysputach, a takowe kształcenie jezuickie nie mogło ojczyznie dać zdatnych urzędników, światłych obywateli. Prócz tych jeszcze klęsk wewnętrznych, obce narody, jak chciały, tak sobie dokazywały po kraju, rozkazywały królom, dowodziły na sejmach,

*) Naruszewicz.
**) Słowa Piotra Skargi.
***) Naruszewicz w satyrach.

przekupstwem tworzyły partye, zgoła mógł w ówczas satyryk*) powiedzieć:

Skacze Polak na jednéj nodze, obcy grają.

Z letargu tego naród poczęści wpływem Francyi zbudzonym został. Tłum bowiem młodzi Polskiéj cisnął się za Stanisławem Leszczyńskim do Nancy, do Paryża, odbierał tam pod opieką księcia staranniejsze wykształcenie, a wracając do ojczyzny, przywoził z sobą wcale inne opinie i nowe wyobrażenia, wcale inne dążności. Widział we Francyi wszystko przeciwnie, jak w Polsce. Tam król był stanem,**) samowładnie rządził narodem, a w formie rządowéj był przynajmniéj porządek, była harmonia i zgoda, przemysł i handel kwitnął między ludem, a literatura i nauki stały na najwyższym szczeblu europejskiéj oświaty; tu zaś anarchia, gnuśność i ciemnota. Takiego porównania, kto kochał ojczyznę, znieść nie mógł spokojnie. Otworzyły się oczy wielu zacnym mężom, wzięli się do dzieła, a naród znękany powoli, z długiéj niemocy zaczął przychodzić do siebie. Ale zaszczepianie obcych, francuzkich elementów, przenoszenie ich w całości i bez potrzebnych modyfikacyi do narodu, którego duch poczęści całkiem był od nich różnym, poczęści też nieprzygotowanym do trafnego i prawdziwego ich pojęcia, złe poniekąd skutki wywarło na Polskę i jéj postęp umysłowy. Mimo tego reforma szła swoim trybem i wzbudzała w narodzie gatunek życia, ruchu i przeświadczenia o sobie, a ponieważ walka z zastarzałemi w kraju wyobrażeniami, z zadawnioną chorobą, trudną była, musiały nowe idee silnie być poparte przez światłych mężów, usiłujących kąkol i zielsko z ojczystéj wytrzebić niwy, aby nowy zasiew bujne wydać mógł plony. Powstała zatem znów satyra, a powstała tem silniéj, tem groźniéj, im większa była potrzeba krajowa, potrzeba moralnéj i towarzyskiéj reformy, przy widocznych już konwulsyach politycznego istnienia. Od razu zaraz ogarnęła w swe kleszcze ową spróchnieliznę hamującą wszelki postęp i rozlała się trafnem szyderstwem i palącym dowcipem, lub gromiącym gniewu zapałem i głośnem sarkaniem na wszystko złe, co wnętrzności ojczyzny toczyło Dokładnie zrozumiała stan rzeczy, rozważyła wpływ zgubny choć najmniejszéj wady, ztąd bez różnicy prywatne osoby, pojedyńcze stany i naród cały chłostać zaczęła.

Mężami, których wtedy na satyryków duch czasu powołał, byli Naruszewicz, Krasicki, Węgierski, blizcy siebie co do wartości satyrycznéj, lecz różni zupełnie co do kierunku, sposobu objawienia się i uważania rzeczy. Naruszewicz, mąż głębokim obdarzony pojęciem, przeznaczony już niejako od natury na uczonego, większą część życia swego w murach klasztornych, i powiększéj części tylko z światem starożytnym spędziwszy, jedynie naukowością i erudycyą zaprzątniony, zachował w wszystkich swych płodach poetycznych coś kaznodziejskiego, napuszonego i pedantycznego, co liryczność jego tak niesmaczną i wymuszoną uczyniło. Toż samo i w satyrze każdy spostrzedz może. Najgłębiéj on i z niejaką naukową pewnością pojął stan i położenie rzeczypospolitéj, dla tego też w satyrach jego tyle prawdy, tyle trafnych i uderzających uwag, tak jasne i dokładne historyczne widzenie, jakiego ani w Krasickim, ani w Węgierskim nie znajdziem; ztąd też wszystko, co powiedział, tyle ma w sobie powagi, jędrności i mocy. Ale ta sama głębokość w spostrzeżeniach, erudycya i stan zakonny Naruszewicza nadały satyrom ów zapał i gniew kaznodziejski, ów ton rozumujący i nauczający, owe szczególne i niezwyczajne zwroty i wyrażenia, wreszcie ów styl ciężki i chropowaty. Dowcip wprawdzie bijący, ale znać zaraz z toku i osnowy, że jest wypływem zastanowienia, nie zaś płodem momentalnym. Przeciwnie Krasicki, wychowaniec dworu i świata, pełen żywości i wdzięku oraz bystrości i genialnego dowcipu, rzadko, kiedy gromi, rzadko, kiedy zmarszcza czoło i z gniewem a poważnem obliczem sarka na zgorszenie i zepsucie, ale tak szczęśliwie i trafnie swem lekkiem szyderstwem, swym kolącym dowcipem wszystkie zbrodnie, wady nicuje, tak zgrabnie i układnie przywary narodu siecze, że w istocie między satyrykami żaden, sam nawet Boileau i Horacy w porównanie z nim iść nie mogą; co bowiem każdego z nich cechuje, to on sam wszystko w sobie połączył, tak, iż mu do prototypu satyryka nic zbywać się nie zdaje. — Węgierski wreszcie gorliwy wyznawca filozofii Encyklopedystów, czciciel Fernejskiego mędrca, zaprawiony i zepsuty jego dziełami, młodzieniec pełen dowcipu i francuzkiéj obrotności, posiadający z drugiéj strony dużo złośliwości i uszczypliwéj ironii, jest niejako echem tylko Woltera w Polsce. Zda się prócz tego, że z osobistéj urazy świat sobie znienawidził, że mu nie tak idzie o szczęście i dobro ogółu, że sobie nie utworzył w wyobraźni swojéj, jak każdy szczery i prawdziwy satyryk jakiegoś ideału, który chce urzeczywistnić, jak raczéj o wylanie żółci, o zemszczenie się na różnych osobach w formie satyry.

M.

---

*) Naruszewicz.

**) *L'état c'est moi*, słowa Ludwika XVIgo, oraz najlepsza definicya monarchii francuzkiéj osiemnastego wieku.

Przegląd pism.

Niezapominajki, noworocznik na r. 1839., wydany przez K. Korwela.

(Dokończenie.)

Dość zajmujący też jest i artykuł humorystyczno-historyczny: Sceny z domowego u nas życia w XV. i XVI. wieku, przez Maciejowskiego; z którego umieszczamy wyjątek.

Kochankowie. Kochanek gaszek upatrzywszy sobie miłośnicę, oświadczał jéj swą miłość, szczególniéj w tańcu nogą przydeptując jéj trzewik. Następnie uczęszczał w oględy, powinien był bezpiecznym okazywać się w żartach, być wymownym, bo inaczéj nazywano go niemową. Nadto powinien był dowieść samą skórą, że potrafi być mężem i będzie głową na dworze swoim. Matka uczyła córkę, jak mu się ma przypodobać: »Gdy cię o co spytają, mówiła, wymawiaj bezpiecznie, ażeby z mowy twojéj poznał, że masz rozum. Twarzy zawsze przymuskaj; używaj barskiego mydła, ażebyś zawsze była pięknego lica, pocieraj ciało gorzałką zmieszaną z białkiem, ażebyś płeć delikatną miała; miej zawsze dobrze sfałdowany letnik, drobniusieńko stąpaj, wzrok skromny, ale śmiały. Kiedy zobaczysz mężczyznę, ukłoń się zaraz, a gdy powie co dowcipnego, ręką, na któréj masz pierścień, twarz sobie od śmiechu zasłaniaj; zatyczki na głowie często poprawiaj.« Kiedy kochanek gagaszek zaniedbywał swą lubą, odbierał od niéj facelet (chusteczka) skropiony łzami, a w nim obrączkę niegdyś wziętą wzajemnie w upominku. Lecz było na to lekarstwo. Gach ugładziwszy twarzy i przejrzawszy się w zwierciedle, poszedł wytłómaczyć się z zarzutu, albo rymem napisał wierszyk, pismo posypawszy złotym prochem, albo posłał w upominku marcypany lub sam przyniósł woniejące wieńce, lub też pod wieczor kazał pod oknami swéj lubéj grać w szałamaje, albo upatrzywszy, kędy z matką swą w kolebce na przejażdżkę pojechała, wnet i on udał się tamże na tureckim koniu, blizko karety skacząc, pląsając i różne czyniąc wywijanki. Wszakże przeprosiny nie łatwo udawały się kawalerom starego pieczywa. Ale rzeskim chłopcom łatwo i przeprosiny i ożenienie przychodziło. Skoro pan ojciec zobaczył, że biorący się do jego córki gach jest pachołkiem krzeczy, że ma zawsze bótek świeży, magierkę (czapkę) sobie nadobnie przypierza, ledwo że mu się sam nie prosił, by wziął jego dziewkę. Jeżeli zbyt długo ociągał się z ożenieniem, a był przystojny i pieniężny, upoiwszy go, sadzano obok lubéj, przyzywano podpojonego także księdza i dawano ślub państwu młodemu.

Żony wyższego urodzenia patrzały wzorków, zwyczajne zatrudniały się kądzielą. Żona dobra nie krokała, jak kokosz i nie orała językiem, jak młyńskie koło, lecz chodziła koło nabiału, robiła gomółki, tworzyła małdrzyki, twarog na ser przysposobiając. Siała z córkami w ogrodzie nowinki i zaopatrywała spiżarnię w zapasy potrzebne, przebierała pietruszkę, pasternak, przekładała ćwiklę, przesypując ją koprem, potrząsając chrzanem i kropiąc octem. Soliła ogórki, przekładając je wiśniowemi liściami, smażyła roże, przyprawiała wódki: cynamonowe, anyżowe, tatarskie i z różnych ziół dystylowane; robiła konfekty, smażąc je w miodzie. Nie znała taka żona, co to jest fukać i hukać na domowników; wyjąwszy kiedy chleb piekła; wtenczas każdy, nawet i pan mąż powinien jéj był ustępować z drogi.

Gdy gach żeniąc się, nie patrzał na to, czy gładka wełna, lecz czy w posłuszeństwie u poczciwych chowana rodziców, nie sprawiał poszóstnych koczów w oględy jadąc, sługom nie dawał od bławatu i szkarłatu barwy, nie był obojętny na to, że chociaż ma stajnie i wozownie na pół obalone, przecież sześć koni do powozu zaprządz powinien, ilekroć swoję odwiedzi miłośnicę. Kto inaczéj czynił, znać przez to dawał, że nie szuka żony, lecz pieniędzy, za któreby po ślubie spłacił swe długi. Tym końcem panowie młodzi udawali się do pań ziem ruskich. W Wielkiéj i Małéj Polsce posagi bywały małe. Szlachcianka, mająca wieś jednę, brała w posagu sto złotych; wojewodzianka i kasztelanka brały po pięć set; resztę zabierali krewni płci męzkiéj. — W domu złéj żony nie było ładu i składu, czasem nie stało i kaszy na wieczerzę; nie usłyszano tam miłego słowka; żona przymawiała mężowi, szczypała go słowami, szkalowała, i na złość mu robiła; posypywała grochu na wschody, żeby wychodząc z domu pośliznął się i spadł na łeb nieborak. On biedak marniał i żywcem zakopał się w grobie, będąc podobny do tego, którym sługi rządzą, a trzewik go trze, gdyż mu własna łaje żona. Ów niegdyś łepski chłopak, który pierwéj chodził chędogo, ożeniwszy się germak nosił, a i ten był niechlujny, bo na nim nigdy nie postała szczotka, kwap tkwił mu w głowie, bo już swojéj ani czesał czupryny, ani kapic nie zasuwał; chodził by podskubana gęś, opuściwszy skrzydła. Na piersiach jego niezapiętych, żupan klijowaty, na kołnierzu pełno kurzu, na łokciach i kolanach łaty różnéj maści, bóty spuścił do kostek. Rzepa mu w dole pogniła, grochu niedostawało, nie było co jeść. Przysłuchiwał się pilnie, czy gdzie kokosz nie gdacze, ażeby choć jaje znalazł na posiłek. Żona co chwila wołała pieniędzy, wołali o nie i zewsząd nań nacierali wierzyciele. Najlepsze jego szaty poszły w zastaw do żyda. Jedyna jego pociecha gorzałeczka i spanie. Wstawał ku południowi, a jeszcze był pijany od wczoraj; oczy mu zagniły, twarz zapuchła. Jeżeli się trafił sąsiad i pytał o przyczynę puchliny, nieborak opiekł raka i mawiał, że go pszczoła ukąsiła.

Korrespondencya.

Kraków, 27. Lutego 1839.

Dla czego w Polsce tak mało (w stósunku cudzoziemców) znajduje się ludzi, którzyby zyskali sławę europejską? — dla czego u nas potrzeba koniecznie rażących błyskawic geniuszu, ażeby ziomkowie po długich debatach powiedzieli nareszcie o kim (jak się dobrze wyraził pan Kraszewski *): »trzeba mu pozwolić być sławnym?« — nie trudna na to odpowiedź. U nas w Polsce każdy przybysz bez talentu popłaca więcéj, niżeli utalentowany ziomek. Mieliśmy tego setne przykłady. Nasz genialny A. Mićkiewicz dopiero po kilkoletniéj nużącéj walce zdołał otrzymać wieniec wielkiego poety. Inaczéj dzieje się u obcych. Bayron, Walter Scott, Goethe i inni, od razu ubóstwiani od współziomków, stali się bez podobnéj walki poetami Europy. Lecz to jest już wadą odebraną w puściznie po naszych uczciwych przodkach, że radzi dajemy pomoc przybylcom, a o swoich mało dbamy. Jestże to skutkiem poczciwości lub ograniczenia? — nie chcę rozwięzywać tego pytania. Dla téj to naszéj obojętności na własną sławę i zagranica mniéj nas ceni, niżeli rzeczywiście na to zasłużyliśmy. Ale nie zamierzyłem sobie rozszerzać się na teraz w tym przedmiocie, dorzucam tę myśl tylko nawiasem do tego, co sobie powiedzieć zamierzyłem. Zresztą, mam mówić w tym przedmiocie tylko o małéj cząstce tego kraju, w którym mówią językiem polskim, to jest: o Krakowie.

Kiedy Dzienniki francuzkie i niemieckie nie mogą się dosyć napisać o pannie Rachel, któréj talent błysnął z pod szaty żebraczki, — gdy pannę Taglioni zarówno na posadzkach z ławy jak i z lodu obsypywano kwiatami, — kiedy cały świat wiruje się lubieżnie w sentymentalnych walcach Sztrausa, i t. d. i t. d. — my wcale nietroszczymy się o naszych genialnych ziomków którzy, gdyby nie sława już nabyta, możeby spleśnieli w zapomnieniu. O Lipińskim, Chopinie, Mićkiewiczu i innych. ledwie czasami nawiasem bąknie które czasowe pismo. Dzięki Tygodnikowi literackiemu, że o nich niezapomina, tak jak drudzy. Lecz nie do tego

*) Wędrówki literackie. Galileizm.

ściągam, chcę mówić tylko o talentach, które oklaskami i zachęceniem należy wywołać na scenę świata.

W Warszawie, nawet Kuryer trudniący się zbieraniem wiadomości codziennych i fraszek (pomijając stronę polityczną tego pisma, mniéj ważną), przecież nie zapomina donosić o najmniejszym talencie, który się odznaczył na niwie sztuk pięknych lub gdzieindziéj. Każdy artysta lub artystka teatru wielkiego znajduje tam w pochwale zachęcenie, zaznajamia się przez to z mieszkańcami całéj stolicy, należy że tak powiem do familii miasta. W Krakowie nic podobnego nie istnieje. — Czyliż to nasza piękna, pełna uroku krakowska okolica żelaznym wyrokiem losu skazana jest na rodzenie saméj tylko złotéj pszenicy? — czyż ziarna talentu przepadają na jéj czarnéj, żyznéj ziemi? — jesteśmyż więc odarci ze wszystkiego, jak pierwsi nasi rodzice w raju, ze szczęścia? — nie masz więc tu nikogo i nikogo! na którego by korzyść chociaż cokolwiek dobrego powiedzieć się dało? — O! nie — to nie dla tego się dzieje; nie obwiniajmy w tym razie losu, ani naszéj ziemi, ani naszego sławiańskiego pokolenia, — obwiniajmy raczéj siebie samych o niedbalstwo. Znajdują się pomiędzy nami talenta, *tylko* albo nie chcemy ich przyznać, albo raz pochwaliwszy, pozostawiamy odłogiem na przyszłość. Jestże to skutkiem egoizmu i obojętności na to wszystko, co się tyczy bliźnich, — obojętności na najdroższe skarby narodowe, jakimi są bez wątpienia talenta? — i tego pytania rozwięzywać nie będę, — niektórzy współziomkowie, jeżeli ich tak nazwać się godzi, znajdą na to odpowiedź we własném sumieniu.

Temi wiedziony powodami przesyłać będę czasami panu, szanowny Redaktorze, wiadomości o każdym talencie, który pod jakimkolwiek bądź względem u nas się odznaczył i rokuje świetną przyszłość. Doniesienia te zapewne nie będą częste, bo to z istoty rzeczy wynika, — talent nie jest przecież pszenicą, która z ziarna rodzi kilkanaście, — przytem i nasza kraina tak szczupła. — Obecnie przesyłam wiadomość o dwóch wiele obiecujących talentach.

Panna Wiktorya Studzińska, pierwsza śpiewaczka teatru krakowskiego, a może i pierwsza w naszém mieście. Głos jéj miły, mocny i bardzo wyrobiony. Zapowiada znakomitą śpiewaczkę, jeżeli Jéj talent pójdzie w tak rosnącym postępie, w jakim w przeciągu jednego roku się posunął. Widać oczywiście, że panna Studzińska wiele nad sobą pracuje, że z namiętnością oddaje się swemu zawodowi. Słyszymy ją tu dosyć często, ostatnią razą między aktami sztuki na jéj benefis granéj. Śpiewała trudne do wykonania waryacye szwajcarskie i nie pozostawiła nic do życzenia. Melodyjne, silne tony zdawały się płynąć z niechcenia z jéj piersi, jakby ją to wcale nie kosztowało.

Słyszeliśmy tu przed dwoma laty pannę Carl, — nie dla tego o tém wspominam, ażebym z nią miał porównywać pannę Studzińską — posądzonoby mnie o przesadę i bardzo słusznie; ale to właśnie, że słyszeliśmy pannę Carl, pozwala nam sądzić o talencie naszéj rodaczki, i bynajmniéj nie stoi na przeszkodzie oddania Jéj talentowi takiéj pochwały, na jaką rzeczywiście zasługuje. Oby oklaski, którymi ją obsypano a które Ona z pełnym wdzięczności wyrazem twarzy przyjęła, nie były ostatniemi! — Prawdziwy talent lubi i potrzebuje oklasków. Obojętność na własną sławę równie jak zbyteczna zarozumiałość, są najzgubniejsze dla talentu. — Obojga nie życzymy naszéj pięknéj śpiewaczce.

Brat jéj, pan Wincenty Studziński, Dyrektor orkiestry teatralnéj, skrzypek, prześcignął już wszystkich naszych krakowskich wirtuozów. *) Odegrał on w czasie benefisu swéj siostry waryacye z opery Romeo i Julia przez siebie ułożone, które czynią zaszczyt swemu kompozytorowi i wykonawcy. Rokuje on także bardzo świetną dla swego talentu przyszłość, a nawet można powiedzieć, poniekąd ją już ziścił.

Nie zapuszczam się w głębszy rozbiór tak gry jego, jak i śpiewu jego siostry, pozostawiam to lepiéj się znającym odemnie. Co do mnie, idzie mi o to tylko, aby przypomnieć moim rodakom, iż nieodpuszczonym jest grzechem, nawet milczeć i z obojętnością pomijać każdy kwiat piękny, który na naszym staroświeckim gruncie się rozwinął, a cóż dopiero nie przyznawać mu wdzięków i woni. Wszakże naszemu pokoleniu sławiańskiemu nie zbywa na niczem, aby nie miało górować nad inne, jeżeli tylko sami zechcemy. Mamy zawsze na myśli, że nie od razu Kraków zbudowano, przecież ociągamy się z dorzucaniem cegiełek w każdym wypadku, kiedy budować potrzeba.

Może tych kilka wyrazów w tym przedmiocie powiedzianych, trafi do przekonania współziomków i wywoła wszechstronniejsze jego zgłębienie. .... *ski.*

Doniesienia literackie.

Kirdżali Czajkowskiego wyszedł w tych dniach w tłómaczeniu francuzkiém w Paryżu. — Z nowszych dzieł zasługują na uwagę: poema o piekle przez Piasta Dantyszka herbu Leliwa, i pamiątki JP. Seweryna Soplicy czesnika Parnawskiego, z których w najbliższych numerach pisma naszego przegląd damy. — Opuściły tu prassę następujące dzieła: 1) Statistique de Lithuanie et des terres russiennes (3e partie de la statistique de Pologne) par A. Słowaczyński. 2) Bajki i poezye Antoniego Góreckiego. 3) Trzy poemata Juliusza Słowackiego: Ojciec zadżumionych w El-Arish, w Szwajcaryi, Wacław. 4) Balladina, tragedya przez Słowackiego. —— Z Warszawskich pism peryodycznych wyszedł: 1) Nr. 42. i 43. Tygodnika rolniczo-technologicznego. 2) Nr. 45. Magazynu powszechnego zawierający: podróż do bieguna północnego (ciąg dalszy); wnętrzne mieszkania i widok okrętu w przystani; stan pierwiastkowy naszego globu; literatura; rozbiór dzieła Żochowskiego; części mowy odmieniające się przez przypadki, przez Kurhanowicza. 3) Oczapowskiego dzieła »Gospodarstwo wiejskie« wyszedł 23. poszyt, zawierający: uprawę roślin okopowych i pastewnych, wraz z nauką o łąkach i pastwiskach. — Zapowiedziane dzieło Seweryna Sierpińskiego: »Obraz miasta Lublina« wyjdzie wkrótce z druku.

*) Nie uwłaczamy tém w niwczem talentowi pana Majeranowskiego, będącego dziś w orkiestrze teatru wielkiego w Warszawie. Odbierał on już u nas zasłużone pochwały i dziś przez p. Studzińskiego godnie zastąpiony został. Porównanie tych dwóch skrzypków przez biegłego znawcę, byłoby korzystném dla obu.



DONIESIENIE.

Przy końcu półrocza uprasza się szanownych prenumeratorów, którzy w półrocznéj racie złożyli prenumeratę, o wczesne złożenie przedpłaty na przyszłe półrocze na kr. pocztamtach. W przeciwnym razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*